

ABY ZASYPAĆ PRZEPAŚĆ...

Philip Earl Steele

Autor – historyk i filolog klasyczny z amerykańskiego stanu Idaho – od 1992 r. jest wykładowcą Instytutu Lingwistyki Stosowanej, Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1994 r. jest redaktorem kwartalnika poświęconego polskiej polityce zagranicznej „Polska w Europie”. W latach 2000-2001 był naczelnym redaktorem językowym miesięcznika „Dialogue and Universalism”. Od sześciu lat blisko współpracuje z wydawnictwem Biblioteki Narodowej jako redaktor i tłumacz.

Philip jest autorem monografii o nawróceniu się Mieszka I i miejscu jego chrztu. Ostatnio jego autorskie teksty ukazały się m.in. w: „Archeologii Żywej”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Znaku”, „Gościu Niedzielnym”, „Więzi”, „Crisis” (USA) oraz „Międzynarodowym Przeglądzie Powszechnym”. Obecnie tłumaczy na j. angielski najnowszą książkę pani profesor Staniszkis i pisze biografię Emilii Hiżowej, która upamiętniła się swoją rolą w „Żegocie” oraz Stronnictwie Demokratycznym.

Jestem praktykiem w sprawach przekładu, tak więc, sprawy te są mi bardzo bliskie i żywo się nimi interesuję. Uwagi, jakimi się podzielię z ~~państwem~~ czytelnikami w tym artykule, będą jednak trochę poboczne; nie odnoszą się bezpośrednio do pracy tłumaczy prawniczych. Będą też najzupełniej warsztatowe, czyli trochę *desultory*. Niemniej wierzę, że ~~znajdziecie~~ uznacie Państwo te spostrzeżenia za godne refleksji.

Jak przystało historykowi i filologowi z wykształcenia, tłumaczę materiały przeważnie z dziedziny humanistyki. Przetłumaczone teksty, które redaguję na podstawie oryginału, też są z tej ~~że~~ dziedziny. Są to materiały ~~jeśli nie wprost~~ o Polsce, ~~to powstałe z i lub~~ odnoszące się do polskich realiów.

Doskonale wiemy, że istnieje cały szeroki wachlarz kłopotliwych ~~kategorii~~ problemów w tego typu tłumaczeniu. Bardzo często wiążą się one z zespołem problemów wokół ustalenia tego, co dla pierwotnie zamierzonego odbiorcy stanowi wiedzę pozaeksykalną, a potem dostarczania *skopos*’owi tej wiedzy.

Oto ciekawy przykład ~~niezrobienia tego~~ uchylenia tej procedurze. Wiosną ~~tego roku~~ 2002 roku Biblioteka Narodowa wydała książkę o życiu i działalności Ignacego Domeyki w trzech równoległych językach. W pierwszej, polskiej części czytamy:

„21 lipca [1884r. Domeyko] wyruszył do Krakowa. [...] Po kilku dniach wyruszył do Warszawy, na stacji granicznej powitał go ostatni z żyjących filaretów Antoni Edward Odyniec.”

Domeyko był nie tylko Polakiem, ale i Chilijczykiem. Zatem drugi język tej książki, to hiszpański. Po hiszpańsku powyższy ustęp brzmi:

„El 21 de julio viajó a Cracovia. [...] Unos días más tarde partió a Varsovia. En la estación fronteriza vino a saludarlo el último de los filaretos, Antoni Edward Odyniec.”

Otóż nie chcąc popaść w łopatologię, powiem tylko tyle, iż nie można się spodziewać, że hiszpańskojęzyczny czytelnik będzie wiedział o jaką granicę chodzi. Nawiasem mówiąc, nie każdy Polak się orientuje, jak ku memu zdziwieniu się dowiedziałem, gdy omawiałem niniejszą sprawę ze studentami Instytutu Lingwistyki Stosowanej. Ale takiej wiedzy od Hiszpana, a tym bardziej od Chilijczyka, absolutnie nie można oczekiwać. Zapewne wie on, że Kraków jest polskim miastem, że Warszawa również – a więc, niby dlaczego znajduje się między nimi stacja graniczna?

W trzeciej, anglojęzycznej części, ustęp ten brzmi:

“On July 21 he set out for Krakow. [...] After a few days he headed for Warsaw. As he crossed the border from the Austrian partition to the Russian partition of Poland, he was greeted by the sole surviving Philareth, Antoni Edward Odyniec.”

Z komentarzem [T1]: „Kategoria” jako taka nie może być kłopotliwa.

Trzeba tu coś koniecznie coś albo dodać, np. „kategorii sytuacji”, albo zastąpić wyraz „kategorii” czymś innym. Nie wiem co Pan ma na myśli.

Po trzecie, słowo *ethic* w takich zwrotach, jak *work ethic*, znaczy „etos” (pracy), a nie „etyka”. Są to przecież zupełnie inne pojęcia (proszę porównać „etos solidarnościowy” oraz „etyka solidarnościowa”). Błąd ten jest nagminny, ale podaję przykład z „wyższej półki”. Otóż tam, gdzie Francis Fukuyama w swojej książce pt. *Trust* pisze o *the Protestant work ethic* albo *the Japanese work ethic*, w polskim przekładzie wydanym przez PWN pt. *Zaufanie* czytamy o protestanckiej czy japońskiej „etyce pracy”.

Po czwarte, *the people*, czyli „naród”, czasem „lud”. Otóż dość często można przeczytać cytaty Amerykanów mówiących o powstawaniu jakiegoś nowego systemu „dla bezpieczeństwa ludzi” (a nie „dla bezpieczeństwa narodowego”), o „ludziach amerykańskich” (a nie „narodzie amerykańskim”) czy nawet o „mężczyźnie od ludzi” (a nie „człowieku z ludu”).

Last but not least, *government* to nie tylko rząd! Dla Amerykanów to słowo obejmuje wszystko od biura hycła powiatowego do Białego Domu. Oznacza ono system polityczny jako całość, a nie tylko prezydenta i jego administrację. Dlatego lepiej tłumaczyć *government* – zależnie od kontekstu – jako np. „władzę” (często przy pomocy odpowiedniego przymiotnika, tj. lokalne, stanowe, federalne), „ustrój polityczny” albo i „rządy”. Po Lincolnie definiujemy demokrację jako *government of the people, by the people, for the people* – „rządy z ludu, przez lud i dla ludu”.

Błędne tłumaczenia często powstają z powodu trudności, z jakiej słyną przedimki. Ulubiony przypadek to słowa uchodzące za cytaty z Ronalda Reagana: „imperium zła”. W oryginale prezydent Reagan powiedział w 1983 roku, że ZSRR to „an evil empire”. Wydaje mi się, że prawidłowo można tłumaczyć jego słowa jako „złowrogie imperium”, może „nikczemne imperium”.

Warto zwrócić uwagę na znaczenie przedimka nieokreślonego *an*, ale chyba prędzej dostrzeżemy problem, jeśli przełożymy „imperium zła” z powrotem na język angielski. Otóż *the empire of evil* wcale nie znaczy to samo, co *an evil empire*! Każdy *native speaker* odróżni te pojęcia, tak jak każdy Polak odróżni „jakie imperium” od „imperium czego”.

Niemniej, „imperium zła” rzeczywiście wyśmienie brzmi. Ma wszelkie walory znakomitego chwytu reklamowego, świetnie nadaje się na tytuł filmu *science fiction* czy też nazwę zespołu *heavy metal*. Można też wskazać manichejskie ponoć rozumienie świata przez Amerykanów. Ale to wszystko nie czyni z „imperium zła” trafnego tłumaczenia słów Reagana.

Nawiasem mówiąc, sprawa sławnej już „osi zła” przypomina nieco „imperium zła”. Oba zwroty pomijają kluczowe znaczenie przedimka nieokreślonego, oba śrubują manicheizm słów prezydentów USA, no i oba zagnieździły się chyba już na zawsze w polszczyźnie. Jednak w swoim orędziu o stanie państwa, 29 stycznia ~~1990~~²⁰⁰² r., prezydent Bush, wymieniając Koreę Północną, Iran oraz Irak, powiedział: *States like these, and their terrorist allies, constitute an axis of evil, arming to threaten the peace of the world*. Sądzę, że w języku polskim sens wypowiedzi Busha można oddać tak: „Te i podobne państwa, wraz ze swymi terrorystycznymi sprzymierzeńcami, stanowią swoistą oś zła, która zbroi się, aby zagrozić pokojowi na świecie”. Gdzie w tej wypowiedzi ślepe, manichejskie szaleństwo, które słyszymy w ogołoconym hasle „oś zła”?

Można siłą woli zmienić obcy język. Polakom udało się to zrobić, gdy mówią „happy end” zamiast *happy ending*. Ja też to czasem robię, gdy mówię „przeładny”, „bawem”, albo gdy upieram się, że „małżeństwo” ma swój źródłosłów w „małże” (dwie połówki w jedną całość), a „mordownia” – w „morda” (bo można tam dostać w mordę). Można też, jak podałem wyżej, powszechnie przypisywać obcym terminom niepoprawne znaczenia. Jest to ważne, bo podkreśla fakt, któremu wszyscy chcielibyśmy zaprzeczyć, zwłaszcza gdy oddajemy pracę, którą sami przełożyliśmy albo gdy czytamy potrzebne nam materiały przetłumaczone z obcego języka: tłumaczy się po omacku. Nie ma ani doskonałej dwujęzyczności ani doskonałej dwukulturowości. Nawet jeśli bierzemy tylko przekłady na język ojczysty, to wszystkie mają mankamenty pojęciowe wynikające z tego, że tłumacz niedostatecznie fachowo rozumie język i kulturę, w których powstał oryginał.

Jest to przepaść trudna do zasypiania.

W swoim „arsenale” tłumacz ma całe mnóstwo różnych sposobów na pokonanie owej przepaści, od zasobów dostępnych w ~~4~~¹Internecie, poprzez konsultacje z autorami i fachowcami, do własnej inwencji i polotu. Skupię się tu na jednym przykładzie: gdy w zasadzie nie ma dobrego odpowiednika w języku docelowym, czasami można opisowo oddać sens danego zwrotu z oryginału i dalej go pozostawić w tekście. Efekt takiej operacji może być różny.

Latem ~~1999~~²⁰⁰² roku, jeszcze przed wizytą papieską, zdążyłem wreszcie przeczytać rozświetloną biografię papieża napisaną przez George’a Weigela *Witness to Hope* (wyd. 1999 r.).

Przykuło moją uwagę to, że Weigel stosuje polski termin *środowisko* o kręgu najbliższych księdza Karola Wojtyły. Niezbyt trafnie wyjaśnia, że *środowisko* oznacza „environment” albo „network”, dodając, że papież woli słowo „milieu”. Ostatecznie, czytelnik natrafia kilkadziesiąt razy na polskie słowo „środowisko” w *Witness to Hope*.

O ile Weigel istotnie nie zrozumiał, że „środowisko” znaczy po prostu „circle”, właśnie „milieu”, ewentualnie „bunch” albo „set”, to można się domyślić, że używając „środowisko” naprawdę chciał on uwypuklić źródłowość swojej biografii, no i pewną egzotyczność papieża. Ale wiemy, że są sytuacje, gdy wcale nie ze „szpanerskiego” powodu, najlepszym wyborem jest pozostawienie obcego zwrotu w tekście docelowym.

Pozwolę sobie wrócić do wyżej wspomnianego słowa „kresy”. Jak tłumaczyć „kresy” na angielski? Brzemienne to słowo, żywcem wzięte z polskiej kosmologii, jak twierdzi profesor Janion. Tam i polskie niebo – Litwa – jak i polskie piekło – Ukraina. Jestem przekonany, że cokolwiek byśmy wymyślili po angielsku, byłoby nieadekwatne, w tym sensie, że mielibyśmy albo niezręczny, suchy opis, np. „former eastern borderlands”, albo metaforę, np. „phantomlands”, która by służyła najwyżej połowicznie, a więc wcale.

Tłumacząc na angielski obszerne fragmenty książki Michała Jagielly pt. *Partnerstwo dla przyszłości*, przyszło mi zmagać się z kresami. Ostatecznie postanowiwszy, że termin „kresy” musi pozostać, wymyśliłem sposób na jego skuteczne użycie. Wymagał on rozbudowania tekstu, oczywiście za zgodą autora. Najpierw po prostu przedstawiłem polski termin i ~~tłumaczyłem~~ wyjaśniłem jego znaczenie. Następnie porównywałem go właśnie do ~~frontier~~ właśnie, tak aby dać czytelnikowi swoistą klamrę i zasugerować mu metaforyczną rangę słowa „kresy”. Potem, by ostatecznie oswoić „kresy” ubrałem je w szatę „frontier”, to znaczy, stosowałem „kresy” w kolokacjach, w jakich występuje „frontier”. W praktyce brzmiało to tak:

“About their former eastern territories Poles say the “*kresy*” – an unusually difficult term (and metaphor) to translate. Most literally, *kresy* may be taken to mean the outlying lands. To a limited degree, Americans might do well to think of the *kresy* as they do *the frontier*, their onetime beckoning West. For that matter, the *kresy* in Polish imagination is similarly fraught with myth.”

[W oryginale ~~można czytać~~ fragment brzmi:

„Nasze polskie wyobrażenie kresów jest obciążone mitologią.”]

Trochę później znajdują się następujące zdania:

“The people of the *kresy* are often descended from the generations of pioneers who struck out from the center to the frontier in search of opportunity [...] Out on the *kresy* [tu słychać “out on the frontier”] the wind blows in two directions: the pioneers become assimilated and undergo the influence of the autochthonous peoples. [...] Life on the *kresy* [szeptem, “life on the frontier”] can become a school of cooperation for different nations, cultures, and religions. Unfortunately, this is seldom the case.”

[W oryginale: ~~można czytać~~:

„Ludzie kresów często wywodzą się z pokoleń pionierów podążających z centrum na obrzeża w poszukiwaniu swej życiowej szansy [...] Na kresach istnieje ruch w obie strony: przybysze asymilują się i poddają wpływowi autochtonów. [...] Życie na kresach może być szkołą współżycia ludzi różnych narodów, kultur, religii. Niestety, zdarza się to rzadko.”]

Jeśli język narodowy jest zwierciadłem bytu narodu, jego osobliwych początków i dziejów, jego trajektorii i zmagania się z obecnym momentem, to z jakim powodzeniem można przekładać z jednego języka na drugi? Jaki jest możliwie niski stopień wykoślawienia oryginału w zwierciadle innego języka? To zależy od tego, jak głęboko wewnątrz, w specyfikę owego bytu sięga mówca lub pisarz. Dlatego *Mistrz i Małgorzata* tak świetnie *swojsko* się czyta w tłumaczeniu na polski, a czyta się „tylko” świetnie po angielsku.

Można w zasadzie bez wykoślawienia przetłumaczyć „I’m hungry” jako „chce mi się jeść”. To dotyczy sprawy najzupełniej uniwersalnej. Ale „it’s time for lunch”? Jak tłumaczyć „lunch” na

polski, i to tak, żeby godzina się zgodziła? A literaturę piękną, poezję? Wino, jakim jest język poezji, wino, które dojrzewało w angielskim bukłaku, może rozerwać polski bukłak, do którego się przeleje. I odwrotnie. Barańczak, to wyjątek, który potwierdza regułę.

Wracając do zwierciadeł, od wielu lat obserwuję jak mocno kultura polska przebija się w tłumaczeniach z języka angielskiego, wykoślawiając zamiar oryginału. I to siłą kultury, podkreślam. Mam tu również na myśli błędne rozumienie angielskiego, błędne z powodu różnic kulturowych. Przykłady, które przytoczę, dotyczą polskiej cechy narodowej, jaką jest niewiara w wygłoszone ideały oraz ambicje.

Po pierwsze: polscy nauczyciele języka angielskiego uczą – wydaje się, że wszędzie ich podręczniki podają – że „to be going to” oznacza „zamierzać”. „I’m going to finish my letter to Aunt Bonny tonight”, według polskich zaleceń to: „Zamierzam skończyć list do cioci Bonny dziś wieczorem”. To kompletny nonsens. Wszędzie w anglojęzycznym świecie „am/is/ czy are going to” tworzy czas przyszły. Po prostu. ~~Tak że: A więc~~ „I’m going to finish my letter to Aunt Bonny tonight”; oznacza „Dziś wieczorem skończę list do cioci Bonny”. Bez cienia sugestii „chyba że coś mi wypadnie”, lub „ale zobaczymy czy mi się uda”. Tak samo, gdy mały chłopak w Indianie mówi „I’m going to be an astronaut when I get big”. Tak samo, gdy dziewczynka w Manchesterze ogłasza „When I grow up I’m going to visit every country in the world”. Tak ~~się wyrażam mówiąc~~, te dzieci nie myślą w kategoriach „może”, „mam taki zamiar”. Ale my jesteśmy mądrzejsi, ~~znamy szansy wiemy jak małe są szanse~~ na spełnienie takich marzeń, więc retuszujemy je poprzez „zamierzam”, „chciałabym”. Niesłusznie.

Polskie tłumaczenie Preambuły do Konstytucji Stanów Zjednoczonych stanowi może ciekawszy przykład rozbieżnych postaw kulturowych. Osiem, dziewięć lat temu widziałem po raz pierwszy polskie tłumaczenie Preambuły. Pamiętam ten straszliwy zgrzyt, który natychmiast poczułem. Trudno mi jednak było od razu wskazać co i dlaczego. Potem, przy dokładnym przyjrzeniu się oryginałowi, zrozumiałem co się stało, dlaczego tłumaczeniu kompletnie brak inspirującej odwagi, dostojności i podniosłości oryginału. Otóż Preambuła zawiera serię czasowników, które – z czysto gramatycznego punktu widzenia – poprawnie można zinterpretować dwójako: albo urzędowo albo wzniośle.

Niemal obsesyjnie sprawdzam to od lat, i na zajęciach translatoryki i gdy spotykam się z kolegami z Ameryki. Jest ~~rzeczą wprost fascynującą~~, że Amerykanie zawsze rozumieją ową serię czasowników jako deklaratywnych, typu „ogłaszam Was mężem i żoną”. Zawsze czują sprawczą moc Preambuły, którą teraz pozwolę sobie Państwu przeczytać:

“We the people of the United States, in order to form a more perfect union, establish justice, insure domestic tranquility, provide for the common defense, promote the general welfare, and secure the blessings of liberty to ourselves and our posterity, do ordain and establish this CONSTITUTION for the United States of America.”

W opublikowanych polskich tłumaczeniach serią czasowników rządzi „in order to”, z takim skutkiem, że Preambuła brzmi jakby była nieśmiałą, drewnianą listą pobożnych życzeń. Mimo to, nigdy się nie zdarzyło w moich „sondażach”, żeby chociażby jeden z moich studentów czy polskich kolegów wpadł na możliwość tłumaczenia czasowników Preambuły jako deklaratywnych. Zdawałoby się, iż między oryginałem a przekładem biegnie tektoniczne pęknięcie kulturowe. Bez dalszych ceregieli, po polsku to brzmi:

„My, Naród Stanów Zjednoczonych, w celu umocnienia Unii, ugruntowania sprawiedliwości, zapewnienia ładu wewnętrznego i środków na wspólną obronę, stworzenia warunków sprzyjających powszechnemu dobrobytowi, zabezpieczenia dla nas i dla potomnych błogosławieństw wolności, ustanawiamy i przyjmujemy tę oto Konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki.”

Natomiast w „amerykańskim odbiorze” Preambuła brzmi:

„My, Naród Stanów Zjednoczonych, w celu stworzenia doskonalszej Unii, ~~zaw~~prowadzamy sprawiedliwość, ustanawiamy ład wewnętrzny, dbamy o powszechne

bezpieczeństwo, ugruntowujemy ogólny dobrobyt i zapewniamy dobrodziejstwo wolności sobie oraz naszym potomnym, niniejszym przyjmując i ustanawiając tę oto KONSTYTUCJĘ Stanów Zjednoczonych Ameryki.”

Ostatni przykład przebicia się niewiary w ideały wziąłem z przemówienia prezydenta Bush’a do ONZ z 12-ego września 2002 r. bieżącego miesiąca, która się ukazała. W weekendowej edycji „Gazety Wyborczej” z 14-15 września, można było przeczytać przemówienie po polsku. W licznych miejscach, w których tłumaczenie zasadniczo odbiega od oryginału, to odbiega w stronę cynizmu i teje niewiary.

Na początku swoich uwag prezydent powiedział:

“We created the United Nations Security Council, so that, unlike the League of Nations, our deliberations would be more than talk, our resolutions would be more than wishes. After generations of deceitful dictators and broken treaties and squandered lives, we dedicated ourselves to standards of human dignity shared by all, and to a system of security defended by all. Today, these standards, and this security, are challenged.”

Jak zaraz usłyszycie, sporo można by zakwestionować w spolszczonej wersji, ale najbardziej istotny passus z oryginału to „we dedicated ourselves to standards of human dignity shared by all”. Proszę zobaczyć, co się stało:

„Stworzyliśmy Radę Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych, aby w przeciwieństwie do Ligi Narodów dyskutować, a nie rozmawiać, i podejmować decyzje, a nie wyrażać życzenia. Po wielu pokoleniach kłamliwych dyktatorów, po zerwanych traktatach i straconych istnieniach poświęcamy się ustalaniu wspólnych dla wszystkich standardów ludzkiej godności i tworzeniu bronionego przez wszystkich systemu bezpieczeństwa. Dzisiaj te standardy i to bezpieczeństwo są zagrożone.”

Otóż ani goły fakt, że „we dedicated ourselves” jest w czasie przeszłym, ani goły fakt, że mowa jest o podpisaniu Karty ONZ w roku 1945 nie złamał oporu tłumacza przed przyjęciem do wiadomości, że ONZ powstał wokół zgodnie przyjętych ideałów oraz zobowiązania (w rozdziale 7) do ich obrony. Przecież główną tezę Bush’a było to, że ONZ musi konsekwentnie trzymać się zasad przyjętych i uchwalonych w czasie swoich narodzin po zakończeniu drugiej wojny światowej. Ba, nawet fakt, że tłumaczenie jest nielogiczne (mówi, że standardy, których nie ma, są zagrożone) nie przeszkadza w uniknięciu mowy o już sobie ślubowanych „standards of human dignity”. Czyżby nie dlatego, że brzmiałoby to zbyt idealistycznie w stosunku do naszego upadłego świata?

Przykłady takie można w nieskończoność mnożyć. Widzę je niemal na co dzień w pracach moich studentów. Zdawałoby się, że mała doza idealizmu, nie tylko w polityce, łatwo może rozerwać polski bukłak.

Chcę, żeby wystarczyło nam czasu na dyskusję, przeto omówię jeszcze tylko jedną sprawę. Otóż obecnie pracuję nad artykułem o tożsamości etnicznej Amerykanów. Najzwyczajniej chodzi o to, że w wyobrażeniu nie tylko statystycznego Polaka, ale też w wyobrażeniu ludzi z inteligencji, Ameryka to transkontynentalny zlepek etnicznych enklaw; i w każdej z nich uprawiana jest odrębna kultura ponoć narodowa. Tymczasem amerykańscy uczeni, że wspomnę choćby profesora Petera D. Salinsa, zaliczają Amerykanów do najbardziej ujednoliconych kulturowo narodów na świecie i traktują ich tożsamość etniczną jako czysto symboliczną, o ile nie zupełnie wymyśloną, jak dowodzi np. profesor Mary C. Waters.

Trudno obalić mit: zresztą nie zamierzam tego próbować w tym wykładzie artykule. Natomiast chcę powiedzieć, że przyglądając się źródłom tego mitu, przekonałem się, że w dużej mierze powstał on z powodu lingwistycznego nieporozumienia. Bo przecież co się zdarza już w pierwszych wymianach zdań między Amerykanami i Polakami? Amerykanin mówi jakiego jest pochodzenia. Mówi „we’re Swedish”, „I’m Italian”, „on my mom’s side we’re Germans, and on my dad’s we’re Irish”. Polak rozumie takie stwierdzenia raczej dosłownie, że skoro Amerykanin mówi „I’m German”, znaczy to, że jego rodzina uprawia tradycje niemieckie, mieszka zapewne wśród innych Niemców, że

Z komentarzem [T3]: Czy tu ma być cynizm?

Tłumaczenie cyniczne (choć z trudem mogę sobie to wyobrazić) to takie, w którym ktoś świadomie łamie zasadę wierności dla jakiejś korzyści własnej. Cynizm to przecież jakaś starogrecka doktryna filozoficzna postulująca łamanie wszelkich norm, ale głównie obyczajowych i moralnych (a nie językowych). Czy nie chodzi Panu po prostu o ignorancję tłumacza? Cynizm (czyż?) w tym kontekście jest pojęciem trudno zrozumiałym.

wszyscy mówią po niemiecku, ~~blisko~~ utrzymują bliskie kontakty z krewnymi w Niemczech, pewnie ~~że~~ w szkole uczyli się o Bismarcku a nie George'a Washington'a. I tak dalej.

Jednak Amerykanie mówią o swoim pochodzeniu swoistym szyfrem czy „shorthand”. Bardzo często „I'm German” oznacza „o ile ja wiem: podobno był sobie taki pradziadek z Niemiec. Tak moja starsza ciocia mi kiedyś powiedziała”. Ciągłości w przekazywaniu niemieckości absolutnie nie ma w olbrzymiej większości takich przypadków. Być może Otóż ~~drugimny~~ Amerykanin, który powie „I'm German”, ~~być może~~ później w rozmowie przyzna, że gdy był dzieckiem, wszyscy w rodzinie myśleli, że są holenderskiego pochodzenia. ~~No, ale w W~~ międzyczasie jednak ktoś zbadał genealogię rodziny i obwieścił, że „we're Germans”. Trzeba także pamiętać, że Amerykanie to naród emigrantów. ~~Kundli~~ że ten „Niemiec” amerykański jest również pochodzenia w sobie również krew, powiedzmy, serbskiego, angielskiego i francuskiego. Ale po co komplikować sprawę, mówiąc: „I'm German-Serb-English-French”? Zresztą serbskie pochodzenie może nie jest w modzie, nasz przykładowy Amerykanin nigdy specjalnie nie lubił krewnych ze strony matki (a i tam jest parę francuskich nazwisk), nie ~~ma~~ dostrzega też żadnego seksapilu w „byciu Anglikiem”. ~~No, ale~~ Ponieważ jednak zawsze wysoko cenił sobie porządek, więc najłatwiej mu powiedzieć, „I'm German”. Badania pokazują, że dokładnie tak jest – w rezultacie tylko 60% Amerykanów deklaruje to samo pochodzenie z roku na rok.

~~To obszerny temat, ale już muszę skończyć. Dziękuję Państwu za uwagę i czekam na dyskusję.~~

I tak właśnie „za wielką wodą” najprostsze słowa rozumie się zupełnie inaczej. Dlatego tłumacz musi stale poszerzać swoje horyzonty, aby chociaż czasem móc tę wodę przepłynąć.

Z komentarzem [T4]: JAKIE TO SZCZĘŚCIE, ŻE TO DOJRZAŁAM!!! „Kundel” to w naszym polskim społeczeństwie z przesadnymi aspiracjami szlacheckimi to NAJGORSZA OBELGA! A powiedzenie tego o swoich rodakach mogłoby świadczyć, że nie tylko nie chce Pan się do nich zaliczać, ale odnosi się Pan do nich z najwyższą pogardą. Tak może powiedzieć tylko największy wróg narodu amerykańskiego. Rozumiem, że w tym przypadku to Pana ignorancja, a nie cynizm.

— sformatowano: Nie Wyróżnienie